Nr. 11. Kraków, Listopad 1917. Rok XI.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
I ADMINISTRACYA:
Kraków,
plac Maryacki L. 2.

Cena egzemplarza
wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU XI-go:

Zaduszki 1917.

Znamy z Ewangelii miasteczko Betanię. Mieszkały tam trzy dusze, tak miłe Jezusowi: Łazarz i jego siostry Marya i Marta. Ale jednego dnia smutek zawitał w dom Łazarza — sam pan domu Łazarz umarł, a nie było Jezusa. Dopiero po kilku dniach przybył do Betanii Chrystus Pan, wezwany przez siostry. Marta zawiadamia siostrę Maryę, pogrążoną w żałobie, iż Jezus nadchodzi; zrywa się wtedy Marya i biegnie, by powitać Pana, a żydzi, którzy przybyli z Jerozolimy na pogrzeb Łazarza, widząc z jakim pośpiechem wyszła z domu Marya, mówili: „**O t o z n o w u i d z i e d o g r o b u, b y t a m p ł a k a ć**“.

O jak dziś coś podobnego oglądamy. Zbliżyły się dnie, poświęcone pamięci zmarłych. Obchodzimy Zaduszki 1917 — a więc czwarte w czasie wojny i oto wychodzi cała Polska, znowu idzie cały lud, idzie na stare i nowe cmentarze, **b y t a m p ł a k a ć**; by opłakiwać swych najbliższych, synów, braci, mężów, ojców, których wojna wyrwała z pośród żyjących.

Zawsze nas poruszał, do głębszego zastanowienia pobudzał dzień, pamięci zmarłych poświęcony. Ale te Zaduszki 1917 jakieś inne, dziwnie smu-

tne, straszne. Stoimy na cmentarzu, by tu wspólnie z kapłanem odmówić modlitwy za zmarłych, ale jakaż boleść i smutek targa serce, kiedy ten syn, brat, ojciec, to dziecko na innem spoczęło cmentarzu. Tysiące przecież nowych w paru latach wojny powstało cmentarzy, i tam leżą oni, nasi najukochańsi. Leżą na wielkich cmentarzach barakowych Chocni i Libnicy, spoczęli gdzieś daleko na granicach państwa. Ile ich tam spoczęło?

Dziesiątki tysięcy; jedni zginęli na polu walki, inni od ran w szpitalach, inni wreszcie z wycieńczenia, z zimna, z głodu. To naprawdę dziś cała Polska wychodzi do grobów, by tam płakać swoich synów, swe dzieci.

Pełni smutku i żałości stajemy na cmentarzu w Dzień Zaduszny, a usta szeptają piękną modlitwę Kościoła św.: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie". Są słowa, które jakiś sobie właściwy urok wywierają na człowieka i chętnie się je słyszy i wymawia. Takiem jest słowo: „odpoczynek". Kto go nie pragnie? nań się cieszy dziecko, trudzi się mąż, by dosłużyć odpoczynku, starzec cieszy się odpocznieniem. Bo co oznacza: spoczynek, czem jest? To wolność od troski wszelkiej, czy ona płynie z pracy, czy cierpienia.

Czemu duszom zmarłych życzymy tego „odpoczynku"? Bo widać jeszcze im go brak, jeszcze w trosce są i cierpienie z powodu kary doczesnej cierpią w czyścu. Któż im da odpoczynek i uwolni ich od cierpień? Bóg to może uczynić. Tedy módlmy się: „Wieczny odpoczynek racz im dać". Bóg otrze łzy z oczu ich i nie będzie dla nich śmierci, ni smutku, ni narzekania, ni boleści.

Ale spoczynek ma wartość jedynie w połączeniu z życiem. I zwierzę ma po śmierci odpoczynek, ale nie ma szczęścia, bo nie żyje. Do życia potrzebna światłość; gdzie jej nie ma, tam nie ma życia, tylko spoczynek grobowy. „Wieczna światłość niech im świeci". Bóg jest tą światłością, i szczęśliwa godzina, kiedy tym duszom zaświeci znowu słońce słońc i będą się cieszyć oglądaniem Boga.

A wreszcie trzecią prośbę dorzucamy: „Niech odpoczywają w pokoju". To takie słowo cudne dla duszy ludzkiej. Życzymy im pokoju, który nasyca, a źródłem jego jest Bóg; pokoju, który daje szczęśliwość bez braku żadnego,

Z doby minionej.

Kaznodzieje i kazania w Polsce średniowiecznej.

I

Z przyjęciem chrześcijaństwa przez Mieszka I. i jego rycerstwo w r. 966, powstała gwałtowna potrzeba sprowadzenia głosicieli słowa Bożego do Polski. Płynęli tedy do nas owi krzewiciele religii i cywilizacyi z obczyzny, a mianowicie z sąsiednich Czech i z Niemiec. Z Czech — ponieważ stamtąd przyszło do nas chrześcijaństwo przez Dąbrówkę i ówczesne duchowieństwo czeskie było niejako uprawnione do rozszerzania i pogłębiania swego dzieła. Garnęło się jednak duchowieństwo czeskie do nas także z powodu łatwości w porozumieniu się z Polakami. Dziś jeszcze rozumiemy Czecha, zwłaszcza jeżeli mówi potocznym, codziennym językiem; w ówczesnych czasach podobieństwo między obu językami było znacznie większe. Polem działalności księży czeskich był prawdopodobnie kraj nad Wisłą, będący pod wpływami czeskimi, ale gorliwsi zapuszczali się dalej. Za Bolesława Chrobrego widzimy czeskiego biskupa, św. Wojciecha, apostołującego wśród pogańskich Prusaków. Czas jakiś bawił ten święty w Krakowie, gdzie miał mieć na rynku kazania. Na miejscu tem stoi dziś kościółek św. Wojciecha. Byłby więc biskup Wojciech jednym z pierwszych kaznodziejów, głoszących Słowo Boże u nas. Przypuszczać się godzi, że kaznodziejów takich między ówczesnym duchowieństwem czeskiem nie brakło. Powoli nawracający się lud Polan słuchał ich chętnie, bo ich dobrze rozumiał.

Trudniej przychodziło rozszerzanie wiary duchowieństwu niemieckiemu. Polszczyzną bowiem ono nie władało, a jeśli zaczerpnęło cokolwiek znajomości języków słowiańskich w gorączkowej, wynaradawiającej pracy wśród słowian połabskich, znajomość musiała być niedostateczna. Szli jednak do Polski, ponieważ uważali ją za teren swoich wpływów. Za Mieszka I-go bowiem zależna była Polska pod względem kościelnym całkowicie od arcybiskupa Magdeburskiego. Na pierwszego też biskupa w Poznaniu powołany został w roku 968 Niemiec Jordan. A kiedy w roku 1000 Bolesław Chrobry zdołał utworzyć arcybiskupstwo polskie w Gnieźnie i uwolnić młody Kościół polski z pod zawisłości od Niemców, to napływ duchowieństwa niemieckiego w granice Polski nie ustał odrazu. Zmniejszał się powoli, ale przecież trwał, aby znowu po

pokoju słodkiego używania, które nie budzi wstrętu, pokoju wonności i rozkoszy, którym nie masz miary — pokoju trwałego, na zawsze.

Natrudzili się ci nasi drodzy bardzo wiele. Tyle znojów, tyle cierpień przeszli przez te lata wojny, niechże odpoczywają w pokoju po trudach i mozołach tego życia. Oni wierzyli, modlili się, jako Polacy-katolicy walczyli i umierali — niech mają światłość wieczną.

A dla nas wszystkich, którzy pełni boleści, w smutku bezgranicznym idziemy do grobów, by tam płakać, pociechą niech będą słowa Chrystusa Pana, wyrzeczone niegdyś do Marty: „Zmartwywstanie brat twój“.

W Zaduszny dzień.

Życie nasze przedstawia w świetle wiary ogromną wartość. Celem jego jest, abyśmy pracą i cierpieniami kupili sobie niebo. Życie nasze winno być drogą do Boga. Jako chrześcijanie winniśmy używać odpowiednich środków, aby poznawać coraz lepiej Pana Boga, aby Go coraz więcej kochać i służyć Mu. Środkami takiemi są np. modlitwa, słuchanie Bożego słowa, czytanie religijnych książek i wogóle wszystko, co nas otacza. Miłującemu Boga wszystko dopomaga do dobrego, więc i praca nasza codzienna, nasze szare zajęcia mogą i powinny być służeniem Bogu. Wogóle każdy z nas niech będzie przejęty zbożnem dążeniem, aby coś na ziemi dla Pana Boga zrobić — dla Pana Boga i swego własnego szczęścia, bo te dwie rzeczy są od siebie nieodłączne.

Jeżeli takiem życie nasze będzie, spotka nas za nie obfita zapłata w niebiesiech i odłączenie się duszy od ciała czyli śmierć nasza będzie tylko przejściem z doliny płaczu do miejsca wiekuistej chwały. Dusza nasza połączy się z Bogiem, będzie patrzeć na Niego twarzą w twarz, a zatopiona w oceanie Jego Piękności, zachwycona Jego Miłością, rozpływać się będzie w niewysłowionem szczęściu — bez końca... Szczęście takie jest udziałem wszystkich dusz zbawionych, czyli Wszystkich Świętych. Liczba ich jest niezmiernie wielka, nam zupełnie nieznana, w której ilość świętych, wyniesionych przez Kościół na ołtarze, ginie, jak kropla w morzu. Czci Wszystkich Świętych poświęcił Kościół dzień pierwszego listopada.

Dzień drugi listopada t. zw. dzień zaduszny lub zaduszki poświęcony jest duszom, cierpiącym w czyścu. Nie wszystkie bowiem dusze idą odrazu po odłączeniu się od ciała do nieba. Olbrzymia prawdopodobnie większość

---

napadach tatarskich i po zaludnianiu kraju przez kolonistów niemieckich wzmóc się potężnie. Czas jakiś wpływy niemieckie w kościołach naszych były bardzo silne, głównie po miastach. Przyczyna była ta, że miasta zostały w 13-tym wieku przez napływową ludność niemiecką silnie zniemczone, więc kazania w kościołach mówiono po niemiecku w nawie głównej, gdy na polskie zostało miejsce tylko w nawach pobocznych. Walkę ze wzrastającą niemczyzną podjęli jednak nasi — właśni już wówczas i rodzimi biskupi i wyrugowali ją po niejakim czasie zupełnie. Ale jeszcze w XV. wieku panoszyła się niemczyzna po kościołach, chociaż już bez siły i chyląc się ku upadkowi. Jan Ostroróg, żyjący w pierwszej połowie XV. stulecia, pisze, że nawa główna z kazaniem niemieckiem świeci już pustkami, bo lud ciśnie się do kaznodziei polskiego. Stąd też urosło nawet przysłowie: Siedzi, jak na niemieckiem kazaniu.

Obok czeskich i niemieckich szli do Polski także duchowni włoscy i francuscy. Pierwszym kronikarzem polskim był francuski zakonnik Gallus, nauczyciel w Poznaniu, żyjący za czasów Bolesława Krzywoustego.

Jednem z najważniejszych zadań duchowieństwa, napływającego do Polski z zagranicy, było wychować z pośród samych Polaków księży, którzyby cieszyli się zaufaniem ludu i którzyby dalej prowadzili zaczęte dzieło. Pracę tę uskuteczniano w szkołach, zakładanych jużto przy biskupich katedrach, już też przy kościołach parafialnych i klasztornych. Wykształcenie dawały szkoły katedralne, klasztorne i parafialne nie wielkie, zaznajamiały głównie z łaciną, jako językiem liturgicznym; w każdym jednak razie stwarzały kler własny, rodzimy, swój, rdzennie polski, który swoich rozumiał i był przez nich dobrze rozumiany, Wychowankowie szkół powyższych mieli sobie powierzoną pracę około parafii wiejskich, zajmowali niższe stopnie w hierarchii. Po miastach pracowali przedewszystkiem zakonnicy, a na wyższe godności kościelne dostawali się księża, którzy przeszli szkoły zagraniczne, włoskie lub francuskie. Tak np. św. Stanisław, biskup krakowski, odebrał wykształcenie teologiczne na uniwersytecie w Paryżu.

Jak wyglądało kaznodziejstwo polskie w rękach tych księży, wychowanków naszych lub zagranicznych szkół? Kazania jakieś być musiały, mówili je zwlaszcza wykształceni, a i wśród byłych uczniów szkół katedralnych czy klasztor. wy-

musi przejść przez miejsce cierpień i mąk, aby się oczyścić ze zmaz, nie odpokutowanych za życia ziemskiego. Nie każdy jest św. Stanisławem Kostką lub św. Franciszkiem Serafickim, nie każdy wypłaca się Bogu tu na ziemi, aż do ostatniego szelążka. Na to potrzeba wielkiej łaski Bożej i silnej, wytrwałej woli.

Łaski Pan Bóg nie odmawia nikomu, hojnie udziela jej wszystkim, tem hojniej, im więcej człowiek z nią współdziała, im ochotniej i wytrwalej z nią współpracuje. Gdybyż jednak człowiek w istocie z nią współdziałał! Gdybyż szedł za oświeceniami i pociągami wewnętrznymi, tak często pochodzącemi od Ducha św.! Niestety! Człowiek widzi nieraz jasno, co powinien robić, wie, co jest dobre, a mimo to pod wpływem pokus i namiętności wybiera złe, grzech. Dowodzi to wielkiej słabości natury ludzkiej, zwichniętej przez grzech pierworodny i ciążącej od czasu tego grzechu raczej do złego, niż do dobrego. Każdy, zwłaszcza zaś kto w cnocie nie jest ugruntowany, kto nie nabył jeszcze nałogu do dobrego, czuje na sobie, iż łatwiej mu popełnić grzech, niż umartwić się i zaprzeć się samego siebie.

Na tem tle występuje cały bezmiar słabości, niedoskonałości i win ludzkich. Smutne, że nie brak tych win i upadków wśród chrześcijan. Przecież oni mają w swych rękach całą Prawdę objawioną, mają do pomocy środki odpowiednie, za pomocą których mogą pełną garścią czerpać siłę do dobrego, do cnoty.

A zaniedbują się! Ty sam — wejdź w siebie głębiej i przyznaj, ile razy byłeś wobec Boga tak wielkim winowajcą, iż oczu nie śmiałeś wznieść ku niebu. Szczęśliwyś, jeśli masz na tyle delikatne sumienie, że nie potrafisz żyć długo w stanie takiego bezładu i nieporządku w duszy. Szczęśliwyś, jeśli spieszysz natychmiast przed trybunał pokuty i kajasz się Bogu z grzechów swoich. Iluż jednak chrześcijan postępuje zupełnie przeciwnie. Leżą w kałużach zepsucia, w duszy zaśmiecenie i stan ciężkiego grzechu, a sumienie ich tak jest stępione, że sobie z niczego skrupułu nie robią, żadnych wyrzutów nie czują. Obojętność ta dowodzi wielkiej z ich strony bezmyślności. Nie chodzi im o to, aby łzą żalu zmyć w konfesyonale przewinę, stronią od spowiedzi i dopiero, gdy nadejdzie czas wielkanocny z trudnością dają się do niej namówić. A może nawet i wtenczas od niej stronią i ją pomijają? Dopiero, gdy siły sterane, gdy zdrowie uchodzi, a łoże śmiertelne przytula do siebie; gdy głowa głupieje, a nogi odmawiają posłuszeństwa, dopiero wtenczas raczą pozwolić, aby im przyprowadzono księdza. Każdego, kto ma iskierkę wiary i miłości ku Bogu, niezmiernie musi boleć takie lekceważenie sobie spraw najgłębszych i najważniejszych dla człowieka. Wypadki takie zdarzają się, zwłaszcza po miastach.

---

rastał nieraz domorosły talent krasomówczy. Naogół jednak — wedle twierdzenia znawcy tych czasów, Aleksandra Brücknera — **kaznodziejstwa u nas wtenczas nie było**. Ogół księży kazań we właściwem tego słowa znaczeniu nie mówił. Opiera Brückner swoje twierdzenie na świadectwie Długosza, iż dawniej „rzadkie bywały w całym kościele polskim kazania po polsku dla ludu, ponieważ dla braku ksiąg i nauki, nie wielu było, coby odpowiednio i umiejętnie prawić je mogli". (Libri beneficiorum).

Nie było więc kazań, lecz przecież musiało coś być — jakieś **nauki**, **jakieś katechizacye** — bo wiadomą jest rzeczą, że chrześcijaństwo coraz silniej przechodziło w żyły i w krew narodu. W XIII w. Polska staje się matką wielkiej liczby świętych — jak dla całego chrześcijaństwa, tak i dla Polski jest wiek XIII „wiekiem świętych". Na podstawie ustaw synodu łęczyckiego z r. 1285 za biskupa Świnki możemy sobie urobić pewne co do tego zdanie. Występuje ten synod przeciw opuszczaniu nauczania religii i zobowiązuje księży świeckich, by co niedziela zamiast kazania do ludu wykładali Wierzę w Boga Pacierz, Zdrowaś Maryo, następnie mieli zapowiedzieć święta na przyszły tydzień i zakończyć naukę spowiedzią powszechną: „Kaję się Bogu". Jeśli ksiądz był zdolniejszy, zaleconem mu było objaśnienie Ewangelii.

Zatem przez dwa wieki z górą po przyjęciu chrześcijaństwa przez Polskę nie mówił kler świecki kazań, głównie dlatego, że był mało wykształcony. W stosunku do reszty społeczeństwa, w którem nikt nie umiał ni czytać, ni pisać, wykształcenie to było już czemś, przez co kler wysunął się na czoło narodu, ale naogół rzecz biorąc, wykształcenie księży świeckich w niższych jego warstwach, nie było takiem, aby możliwe było powstanie kaznodziejstwa.

Wykształceńsze jednak były na owe czasy zakony i im to właściwie przypadła w udziale zasługa powołania do życia tej ważnej gałęzi w życiu religijnem Kościoła. W celach klasztornych rodzi się **średniowieczne kaznodziejstwo polskie**. Aleks. Brückner rozróżnia w jego rozwoju dwie fazy: **pierwszą zakonną**, trwającą przez wiek XIII i XIV, a **drugą księży świeckich** w wieku XV, której początek i życie dała odrodzona wszechnica Władysławowska, przezwana potem Jagiellońską.

St. S.

Całe lata nieraz żyje się w grzechu, dopiero przed samą śmiercią następuje pojednanie z Bogiem.

Czyż więc dziwi kogo, że dusza takiego człowieka nie może odrazu pójść do nieba po nagrodę, lecz że Sprawiedliwość Boża wyznaczyła dla niej miejsce pokuty, nazwane czyśćem? Do nieba nie może iść wprost, bo nagrzeszyła wiele, ale i potępioną być nie może, bo ostatecznie przeprosiła Boga i odzyskała łaskę poświęcającą. Zostaje więc czyściec, do którego idzie na pewien czas, aby duchownemi i fizycznemi cierpieniami odpokutować za grzechy i oczyścić się zupełnie. Jak długo będzie ponosić cierpienia? Jest to tajemnica Boga. Długotrwałość mąk czyścowych zależy od ilości i jakości grzechów, jakie się popełniło za życia, przyczem wchodzi w rachubę stopień pokuty, jaką kto za swe winy podjął i uczucie, z jakiem ją wykonywał. Są zapewne dusze, które na chwilę małą pozostają w czyścu, poczem otrzymują nagrodę niebieską; są jednak prawdopodobnie i inne, które cierpieć muszą dziesiątki, ba nawet setki lat, bo przecież Kościół zezwala odprawiać Mszą św. za duszę człowieka, chociażby on pomarł lat temu sto, dwieście, trzysta lub więcej.

Męki, ponoszone przez dusze w czyścu, są bardzo wielkie. Męki te są cięższe lub lżejsze, znowu zależnie od tego, ile kto zawinił za życia. A ponieważ niema dwóch ludzi we wszystkiem sobie równych, tak, żeby się usposobieniem, uczuciami i czynami zupełnie nakrywali, tak też i w czyścu niema zapewne dwóch dusz, któreby ponosiły, we wszystkich szczegółach tę samą karę. Są i tutaj najrozmaitsze stopnie. Istota tylko męki czyścowej jest wszystkim wspólna, a istota ta polega na tęsknocie i bólu z powodu niewidzenia Boga. Tęsknota ta musi być pożerająca, ból niewysłowiony, dla nas, dopóki na ziemi żyjemy, niepojęty. Zanadto jesteśmy związani ze światem i z ciałem swojem, abyśmy to mogli zupełnie odczuć i pojąć. Duszy jednak nie krępuje już w czyścu ciało, zniknął przed nią świat i ona całem pragnieniem i całą istotą swoją ciągnie ku Bogu, pragnie połączenia z Nim, pragnie Go posiąść najzupełniej. Ona Go miłuje niepojęcie, niepowstrzymanym pędem chciałaby zatopić w Nim władze swoje i istotę swoją, poznawać Go bez końca i kochać bez końca — a niestety, Bóg ten jest przed nią zakryty, widzieć Go nie może. Więc męka stąd dla niej największa. Jeśli powiedzieliśmy, że my na ziemi tego dobrze pojąć nie potrafimy, nie wynika stąd, abyśmy nie mogli tego pojąć cokolwiek. Żyją przecież pośród nas ludzie religijni, kochający Boga całem sercem i służący Mu na każdy dzień. Ci z pewnością pojmują w pewnym stopniu, czem jest odsunięcie się Boga od duszy. Święci, jako wysoce uduchownieni, pojmowali to lepiej, niż zwyczajni ludzie, stąd też nie mogą znaleźć słów na wypowiedzenie tego, czem jest dla dusz czyścowych brak widzenia Boga.

Obok tego jednak cierpią dusze w czyścu także z powodu wyrzutów sumienia. Poznają bowiem doskonale, że lekkomyślnie pozbywały się za życia ziemskiego łączności z Bogiem, że zmarnowały łaski, jakie im Bóg dawał, że tego Najlepszego Ojca poważyły się obrażać mimo tylu dobrodziejstw, z rąk jego otrzymanych.

Jest powszechne przekonanie w Kościele kat., że dusze w czyścu cierpią także fizycznie od ognia. Nie jest to dogmat, ale rzecz bardzo prawdopodobna. Oczywiście nie będzie to jakiś ogień materyalny, nam tutaj znany, który ma zdolność do palenia ciał tylko; musi to być ogień duchowy, mający siłę do trawienia istot duchowych. O ile dusza wyższa jest od ciała, o tyle siła ognia ziemskiego i stąd męki, zadawane przezeń, muszą być straszliwie bolesne.

Po tych ogólnych uwagach o czyścu, po tem jakby przygotowaniu, opuśćmy na chwilę ziemię i zstąpmy w miejsce pokuty dusz. Wyobraźmy sobie, że stoimy w środku czyśca, a dokoła nas setki tysięcy, nawet miliony nieszczęśliwych dusz. Duchy to dobre, przyszli mieszkańcy nieba, wybrańcy Boży — lecz na razie pogrążeni w morzu boleści i mąk. Wiją się z bólu, mrą z tęsknoty. Przypatrzmy się im bliżej i pomyślmy, że są to nasi bliźni, względem których obowiązuje nas przykazanie miłości. Czy nie będzie serce nasze pełne dla nich współczucia? Patrzmy bliżej i szukajmy dobrze. Tam — oto — twój ojciec i twoja matka wiją się w płomieniach duchowego ognia, tam dalej twój brat lub siostra, przyjaciel, mąż, żona i dzieci twoje zamierają w ciemnościach, albowiem zgasła dla nich do czasu Światłość, która wiekuiście świeci. Jako spragniony jeleń wyrywa się do źródła wód, tak tysiąc razy więcej one rwą się do nieba, do Boga, a Bóg dla nich się zakrył, a niebo dla nich do czasu zamknięte. Stój przez chwilę w tem kole pomarłych, ukochanych osób i rzuć okiem w bok — oto cierpią dusze, o których nikt nie pamięta, po których zaginął wszelki na świecie ślad. To dusze—znikąd ratunku nie mające.

I pomyśl sobie dalej, że ty — ty sam, jak jesteś, w swej własnej osobie — możesz tym duszom pomódz i ulżyć, możesz nawet do ich wyzwolenia się przyczynić. Bądź pewny, że tak jest, bo to jest dogmat wiary. Pod tym względem masz wyższość nad aniołami i świętymi w niebie, bo oni duszom w czyścu nie mogą przynieść żadnej ulgi.

Jeśli tylko wgłębimy się w prawdy, tu poruszane, niemożliwe, żebyśmy pozostali bezczynni. Będziemy szukać sposobów przyjścia nieszczęśliwym z pomocą. Sposobów tych jest wiele i bardzo łatwych, bo pamiętajmy zawsze, że jak wszędzie, tak i w tym wypadku Pan Bóg od nas nadzwyczajności nie wymaga. Sposobem najdzielniejszym jest

Msza św., jest to jedyny zarazem ze sposobów, w którym sam bezpośrednio, osobiście udziału brać nie możesz, tylko wyręczasz się rękami kapłana. Wszystkie inne sposoby stoją do rozporządzenia każdemu osobiście. Więc modlitwa, odmawiana za dusze w czyścu, więc jałmużna, post, słuchanie Mszy św. i wogóle każda czynność, każda choćby najdrobniejsza rzecz, jeśli ją wykonamy z myślą wspomożenia cierpiącym duszom. Bardzo poradną byłoby rzeczą, abyśmy codziennie rano wzbudzili sobie czystą intencyę i ofiarowali całodzienne nasze myśli, pragnienia, trudy i cierpienie za dusze czyścowe.

Aby zachęcić wiernych do ofiary dla tych biednych dusz ustanowił Kościół d z i e ń z a d u s z n y czyli t. zw. Zaduszki.

Zaduszki rozpoczynają się już w dzień WW. Świętych żałobnemi nieszporami i uroczystą procesyą z kościoła na cmentarz. Procesya ta jest wszędzie tłumną, bierze w niej udział każdy, kto tylko może się wymknąć z domu; uczestników ogarnia dziwny nastrój, czuje każdy z nich prawie dotykalnie, że niema dla nas na ziemi stałego mieszkania, że wszyscy jesteśmy tylko pątnikami na krótki czas. Myślą każdy łączy się ze swymi najbliższymi, którzy już odeszli na drugi świat, a za których śladem każdy z nas prędzej czy później pójść musi. Postanowiono jest człowiekowi raz umrzeć. Nastrój niezwykły powiększa jeszcze żałosna pieśń, śpiewana Bogu o duszach i płaczące głosy kościelnych dzwonów, wtórujące procesyjnemu śpiewowi. Zdawałoby się, że dzwony te razem z niepoliczonym orszakiem wygłaszają to znane i sto razy słyszane: Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie.

Nazajutrz w sam dzień zaduszny nastrój ten trwa w dalszym ciągu. W kościele każdy kapłan odprawia trzy Msze święte, z ambony wypomina się w niektórych miejscach nazwiska umarłych, w środku kościoła katafalk i trumna i wiele rozpalonych świec. Nareszcie procesyjne obejście kościoła wśród śpiewu i modłów za dusze w czyścu. Kościół chce w ten sposób przyczynić się do wsparcia tych dusz, usiłuje pobudzić wiernych do dobrych uczynków i do ofiar dla nich, a nastrój zagrobowy, jaki ogarnia każdego na widok obrzędów i ceremonii żałobnych ma iść w parze z myślą i zamiarem kościoła. Spieszmyż tedy w zaduszny dzień z pomocą duszom, pogrążonym w kaźniach czyśca, odstępujmy im nasze zasługi i z pobożnem uczuciem szeptajmy: wieczne odpoczywanie racz im dać Panie.

W zaduszny dzień jesteśmy przedewszystkiem do tego obowiązani, bo to jeden jedyny w roku dzień, poświęcony pamięci umarłych. Nie zapominajmy jednak o duszach i na potem. Listopad cały jest niejako miesiącem zadusznym, więc zwłaszcza w listopadzie modlimy się za tych, „którzy już dni swoje skończyli i ten straszliwy termin odprawili: Niech mają pokój, pokój pożądany, Jezus kochany“.

S.

Trzy Msze św. i odpust w Dzień Zaduszny.

Już na początku wieku XVIII w Hiszpanii przyjął się zwyczaj, że w Dzień Zaduszny kapłani świeccy dwie, zakonni zaś trzy Msze św. odprawiali, chcąc duszom w czyścu cierpiącym z jak największą przyjść pomocą. Papież Benedykt XIV, do którego się w tej sprawie odniesiono, zwyczaju tego nie potępił; owszem przywilejem z dnia 26 sierpnia r. 1748 wszystkim bez różnicy kapłanom, świeckim zarówno jak zakonnym, w obrębie Hiszpanii i dzisiejszej Portugalii, pozwolił w dniu pamięci wiernych zmarłych poświęconym trzy Msze św. odprawiać. Poza granice królestw wymienionych zwyczaj ten wówczas się nie rozpowszechnił.

Pod koniec jednak wieku XIX i w wieku teraźniejszym poczęły do Stolicy św. wpływać liczne prośby, by przywilej, o którym mowa, na cały świat rozszerzyła. Papież Benedykt XV, chociaż od niedawna dopiero (od 3 września 1914), na stolicy Piotrowej zasiada, otrzymał tych próśb już wiele. Prośby te były od lat kilkudziesięciu przedmiotem pilnych roztrząsań w Kongregacyach rzymskich.

Ojciec św. Benedykt XV raczył przychylić się do próśb tych i w Konstytucyi Apostolskiej z dnia 10 sierpnia 1915 pozwolił wszystkim całego świata kapłanom, świeckim i zakonnym, w Dzień Zaduszny odprawiać trzy Msze święte. A przez to chwycił za serce wszystkich wierzących i pobożnych. Bo Drogich naszych, którzy odeszli, kochamy; radzibyśmy, by za spokój ich dusz zanoszonych było do Boga jak najwięcej modłów i ofiar!

W Konstytucyi swojej Ojciec św. wyłuszcza powody, które go do wydania tego pozwolenia skłoniły. Wiele legatów i fundacyj mszalnych, za dusze zmarłych w dawnych czasach poczynionych, wskutek nieszczęśliwych wypadków przepadło, albo skutkiem zmiany kursu pieniędzy zmalało tak, że liczba Mszy św., do których te legaty zobowiązywały, musiała być zredukowaną. Dzisiaj znów, w czasie strasznej wojny, która prawie całą Europę objęła, pada na polu walki tyle ludzi, osobliwie kwiat młodzieży; duszom poległym nieść pomoc starają się zapewne ich najbliżsi, lecz kto wie, czy starają się dostatecznie. Papież, jako wszystkich wiernych Ojciec, chce, by wszyscy, którzy z tego świata zeszli jako jego dzieci drogie, korzystać mogli najobficiej ze skarbu zasług Jezusa Chrystusa.

Pozwala więc wszystkim kapłanom odprawiać w Dzień Zaduszny trzy Msze św. tym sposobem: Jedną odprawiać im wolno, za kogokolwiek chcą, i na tę Mszę wolno im przyjąć stypendyum; drugą odprawiać winni za dusze wszystkich wiernych zmarłych;

trzecią odprawiać po myśli Ojca św., wyżej wyrażonej, t. j. za dusze zmarłych, którym Msze fundowane przepadły i za dusze poległych w teraźniejszej wojnie. Nie nakłada obowiązku odprawiania tych wszystkich trzech Mszy, dlatego kapłan chorowity będzie mógł jedną tylko odprawić; ma to jednak za rzecz pewną („pro certo habemus"), że wszyscy kapłani, o ile będą mogli, z powolenia danego korzystać będą.

Na zakończenie Ojciec św. napomina wszystkich Wiernych, by, pamiętając na węzły we wielu wypadkach bardzo ścisłe, które ich ze zmarłymi łączą, w Dniu Zadusznym jak najliczniej na Msze św. przybywali.

Oprócz przywilejem trzech Mszy św. Ojciec św. innym jeszcze przywilejem Dzień Zaduszny ozdobił: dekretem z d. 25 czerwca 1916 r. nadał na ten dzień odpust, zwany „toties quoties", który polega na tem, że każdy wierny„ ilekroć po spowiedzi i Komunii św. jakikolwiek kościół, albo kaplicę publiczną odwiedzi i tam według myśli Ojca św. się pomodli, tylekroć będzie mógł dostąpić odpustu zupełnego, byleby go jednak za dusze w czyśću cierpiące ofiarował.

Któż z nas nie będzie wdzięcznym Ojcu św. za te rozporządzenia? Podając je do wiadomości Czytelników, sądzę, że mogę wyrazić nadzieję, że Dzień Zaduszny, który nas zawsze rozrzewniał, odtąd jeszcze ważniejszym i droższym nam będzie i odtąd jeszcze bardziej zobowiązywać i zapalać nas będzie do wszelkiego rodzaju dobrych uczynków — na korzyść naszych Drogich Zmarłych.

Od Wydawnictwa.

Jedenaście lat mija od chwili, kiedy rozpoczęło wychodzić pismo pod tytułem: „W Obronie Prawdy". Przeznaczone dla katolickiego ludu polskiego, w krótkim czasie szturmem zdobyło sobie serca wielu tysięcy i stało się rzec można najulubieńszą gazetką na ziemiach polskich. Zadaniem pisma było działać „W Obronie Prawdy", prawdy katolickiej, szerzyć i pogłębiać uświadomienie religijne wśród ludu katolickiego. W tym duchu prowadzone pismo stało się ulubioną gazetką ludu polskiego; wita je radośnie w domu swoim wieśniak, leży na stole w izbie robotnika polskiego, nie brak jej w domach mieszczan i obywateli, wszędzie dociera. W Galicyi nie ma domu, gdzieby nie znano naszej gazetki, rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy na Śląsku, szła nawet do Ameryki przed wojną. Ileż zawdzięcza temu pismu lud polski, katolicki! Ileż razy w czasie pokusy, kiedy towarzysze pracy rzucali jad nienawiści do wiary św. i Kościoła katol., robotnik odczytując te proste przykłady, opowieści, prawdy wiary św., znalazł pociechę, zaczerpnął mocy do wytrwania. A ilu tym kartkom zawdzięcza swoje nawrócenie! do ilu rodzin wniosła gazetka dawny, słodki pokój, zadowolenie i radość dawno nie widzianą. Tysiące rannych naszych żołnierzy z radością brało do ręki to pisemko, które wydawnictwo rozsyła prawie do wszystkich szpitali.

Należy przypomnieć tych pracowników, którzy kierowali Redakcyą pisma i artykułami swymi z dziedziny życia katolickiego siali ziarno zdrowej, dobrej nauki w sercach wielu tysięcy. A byli po kolei redaktorami „W Obronie Prawdy" księża: Mateusz **Jeż**, Władysław **Staich**, Aleksander **Mohl**, T. J. Marceli **Dziurzyński**. Były lata, iż pismo nasze rozchwytywane było w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a niektóre numera, jak np. zawierające artykuły: „Pędzić, pędzić! Kogo?" rozeszły się w olbrzymiej ilości.

W r. 1912 kierownictwo pisma objął ks. Dr Karol **Nikiel**, kanclerz Książęco-Biskupiego Konsystorza w Krakowie, obecnie kanonik kapituły krakowskiej i szambelan J. Św. Ojca św., który mozolną pracą i zapobiegliwością zapewnił wydawnictwu trwałe podstawy. Przez pięć lat kierował ks. kanonik Dr K. Nikiel redakcyą pisma, prowadząc wytrwale rozpoczęte dzieło. Mimo coraz trudniejszych warunków, jakie sprowadziła wojna, ks. kan. Dr Nikiel zdołał rozszerzyć pismo tak, iż nakład dochodzi do 20.000. Pismo nasze bardzo wiele ma do zawdzięczenia ks. kan. Drowi Niklowi, który z taką sumiennością i szczerem oddaniem prowadził redakcyę i administracyę pisma, nawet z poświęceniem interesów osobistych.

Z powodu nowych a licznych zajęć, zmuszony był ks. kan. Dr Nikiel złożyć obowiązki połączone z kierownictwem pisma. Wydawnictwo pisma wyraża Przew. ks. kan. Drowi Karolowi Niklowi imieniem wszystkich czytelników i przyjaciół serdeczne podziękowanie i wyrazy czci za trudy i prace dla dobra ludu katolickiego podjęte, a zarazem wyraża niepłonną nadzieję, że nasze pismo i nadal doznawać będzie życzliwej pomocy i poparcia z Jego strony.

Z chwili obecnej.

Sprawa pokoju.

Jak w trzech poprzednich jesieniach, tak i w tej oczekiwała ludzkość z wielką tęsknotą zakończenia wojny. Do nadziei upewniało tym razem wysłanie noty pokojowej Papieża Benedykta XV. do państw wojujących i odpowiedź, jaką na nią dały państwa centralne.

W ogłoszonej odpowiedzi Austryi i Niemiec wyrażone było pragnienie zawarcia honorowego pokoju. Dawało jednak to do myślenia, dlaczego państwa centralne nie przedstawiły swego stanowiska w sprawie Belgii, Polski i państw bałkańskich, lecz ograniczyły się raczej do ogólników. Rządy Anglii, Francyi Włoch i Rosyi nie dały do tego czasu oficyalnej odpowiedzi na notę Papieża; poprzestały tylko na złożeniu uroczystych oświadczeń, złożonych w parlamentach. W tych zaś oświadczeniach nie drgała wcale nuta pokojowa. Prawdopodobnie państwa koalicyi (z wyjątkiem Ameryki) oficyalnie na notę papieską nie odpowiedzą.

Niekorzystnie na ożywione nadzieje pokojowe wpłynęło oświadczenie, jakie z komisyi głównej Sejmu Rzeszy złożył kanclerz niemiecki Dr. Michaelis. Powiedział on, że w Rosyi panuje ogromny chaos i zamieszanie, że położenie militarne i gospodarcze we Francyi, Anglii i we Włoszech z dniem każdym coraz bardziej się pogarsza, że wobec tego Niemcy nie myślą wcale wyjaśniać celów wojennych i nie myślą wyznaczać swoich pośredników, którzyby zaczęli traktować o pokój. Zaprotestował też przeciw nocie Wilsona, przez którą prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej miesza się w stosunki wewnętrzne Niemiec. (Jak wiadomo Wilson żądał, ażeby za politykę zewnętrzną Niemiec był odpowiedzialny cały naród niemiecki przez swoich parlamentarnych przedstawicieli, a nie tylko — jak dotychczas — sam rząd niemiecki, który nie jest przed parlamentem odpowiedzialnym).

Na owem posiedzeniu komisyi głównej nadzieje pokojowe dobił jeszcze bardziej sekretarz państwa, Dr Kühlmann, przez to, że zaprzeczył stanowczo pogłoskom, jakoby rząd niemiecki zamierzał oddać Belgię, a o nocie papieskiej i o odpowiedziach na nią wyraził się, że nie może ona stanowić podstawy do rozpoczęcia rokowań pokojowych, chyba, że może co najwyżej „stworzyć atmosferę konieczną do pomyślnego rozpatrzenia kwestyj spornych, dzielących ludy. Przy takich bowiem rokowaniach najważniejszą jest atmosfera i nastrój".

Te obydwie oficyalne mowy wywołały tak w państwach centralnych, jak i za granicą przygnębiające wrażenie. Nadzieje pokojowe zaczęły się rozwiewać, a nad światem zabłysnął znowu wyciągnięty krwawy miecz. O mowie kanclerza Rzeszy napisały gazety angielskie, że przez nią „pogrzebał on na razie nadzieje pokojowe", że przez nią „zamknął on bramy pokoju", że ta mowa „równie dobrze mogła być wypowiedziana na początku wojny".

Jednakowoż pomimo tego nie należy jeszcze całkowicie tracić nadziei. W pierwszych dniach października wygłosił na Węgrzech minister spraw zagranicznych Austro-Węgier hr. Czernin mowę polityczną. W mowie swej zajął zupełnie nowe stanowisko w sprawie pokoju. Powiedział bowiem, że najlepsze rozwiązanie sprawy widzi w powszechnem rozbrojeniu, w oparciu stosunków międzynarodowych na sprawiedliwości i w oddawaniu sporów między państwami pod rozstrzygnięcie międzynarodowego sądu rozjemczego.

Mowa ta wywarła wszędzie głębokie i jak najlepsze wrażenie. Przez swoje szeroko zakreślone horyzonty posiada ona historyczne znaczenie. Będzie ona oddziaływać kojąco na podrażnione długą wojną ludy i przygotowywać grunt pod przyszły trwały pokój.

Sprawiedliwość wyłania się z chaosu wojny.

Europa podzieliła się obecnie na dwa wrogie obozy. Z jednej strony stoją państwa centralne, a z drugiej koalicya. Co więcej, w okropny wir wojny zostały wciągnięte i inne części świata. Jakkolwiek przygotowania do obecnych ciężkich zapasów odbywały się już dawno, to jednak pomimo to możemy powiedzieć, że wybuch wojny w lecie 1914 r. wszystkich nagle zaskoczył.

Powszechnie utarło się zdanie, że rywalizacya między Niemcami i Anglią wywołała obecny straszny pożar światowy. Z początkiem wojny mówiono też powszechnie, że wojnę właściwie prowadzi Anglia z pobudek samolubnych, mianowicie o swój handel światowy, zagrożony przez Niemcy. Podobne pobudki przypisywano również Niemcom, a zwłaszcza, że idzie im o panowanie nad światem.

Kto wie, czy podobne pobudki nie byłyby osądzone przez historyę za główne sprężyny obecnych światowych zapasów, gdyby wojna trwała była krótko, może kilka miesięcy, jak niektórzy z początku przypuszczali. Inaczej jednak się stało. Im dłużej przeciągała się wojna, to tem natarczywiej ludzie myślący stawiali sobie pytanie, po co właściwie toczy się ta krwawa rzeź. Opatrzność tak dziwnie zrządziła, że na początku czwartego roku wojny kierownicy państw oświadczają, że wojna toczy się o sprawiedliwość, a temsamem o zapewnienie ludom trwałego pokoju. I zasady takie głoszą nie jacyś ideowi marzyciele, lecz dyplomaci i ministrowie, którzy mają władzę w ręku, a więc którzy te zasady mogą w życiu praktycznem urzeczywistnić.

Oto w odpowiedzi cesarza Austro-Węgier Karola na notę papieską czytamy: „Dążymy do pokoju, któryby dalsze życie ludów uwolnił od zawiści i mściwości i któryby je przez długie pokolenia

zabezpieczył przed użyciem siły zbrojnej. Przyszły porządek świata musi się oprzeć na moralnej potędze prawa, na panowaniu międzynarodowej sprawiedliwości i prawowitości, a siła oręża ma być wykluczona".

Podobnie w odpowiedzi niemieckiej czytamy, że „w przyszłości w miejsce materyalnej siły oręża musi nastać moralna siła prawa".

Niemniej i po stronie koalicyi głosi się te same hasła, że wojna toczy się o dobra duchowe ludzkości, mianowicie o wolność i sprawiedliwość. Znamienną w tym względzie jest mowa, wygłoszona niedawno w Leeds przez b. prezydenta ministrów angielskich Asquitha, a która miała być wygłoszona imieniem narodu angielskiego. W mowie tej Asquith wyraźnie powiedział: „Raz na zawsze należy usunąć z pośród zasad naszych błędną zasadę, że jeżeli pragnie się pokoju, należy się sposobić do wojny. Przyszłe pokolenia mogą dożyć złotego wieku. Obawiam się jednak, że my, a może nawet tylko najmłodsi z nas będą to szczęście tylko z oddalenia widzieli. Po raz pierwszy w dziejach świata możemy urzeczywistnić ideał nie tylko europejskiej, lecz cały świat obejmującej polityki złączenia narodów w związek, którego podstawą będzie sprawiedliwość, a kamieniem węgielnym wolność". W imię tych haseł domagą się Asquith wolności dla Belgii, dla Polski, południowych Słowian i dla ludów bałkańskich.

Niech to wystarczy: Czyż z tego wszystkiego nie widać, jak sprawiedliwość toruje sobie drogę, jak ona wyłania się coraz wyraźniej z pośród okropnego chaosu wojny! Powoli, ale ciągle odnosi zwycięstwo przelana krew i te wielkie ofiary nie pójdą na marne. Przez wielkie cierpienia ludzkość zdąża do „złotego wieku". Ludy pragną się złączyć w jedną, wspólną rodzinę, a zadaniem odpowiednich czynników być winno, aby w tej rodzinie ludów panowała zasada chrześcijańska.

Powszechne dążenie do pokoju.

Oczekiwanie odpowiedzi na notę pokojową Papieża.

W poprzednim numerze „Polskiego Siewu" podaliśmy w dosłownem brzmieniu notę pokojową Ojca św. Benedykta XV., doręczoną wszystkim rządom państw prowadzących wojnę, z początkiem miesiąca sierpnia. W nocie tej Ojciec św. nie poprzestał na ogólnikowem nawoływaniu do pokoju, ale przedstawił konkretne warunki, na których pokój mógłby być zawarty, a mianowicie domagał się wolności dla wszystkich ludów. Osobno zaznaczył, że nieodzownym warunkiem do zawarcia pokoju, jest przywrócenie wolności Belgii.

Po wydaniu noty pokojowej przez Benedykta XV. oczy całego świata zwróciły się ku wzgórzu Watykańskiemu. Bo i dyplomaci i rządy poczuwały się do obowiązku, ażeby oficyalnie odpowiedzieć na notę Papieża, a i ludy wszystkich państw wojujących, znękane długą wojną, nadsłuchiwały bacznie, co powiedzą rządy i zaczęły żywić już większą nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zejdzie słońce pokoju.

Temsamem na daleki plan zeszedł zjazd sztokholmski, planowany przez międzynarodowy socyalizm. Zjazd ten przygotowywany przez tak wiele miesięcy i ogłaszany szumnie przez prasę socyalistyczną, nie doszedł wcale do skutku.

Odpowiedź państw centralnych.

Na notę Papieża odpowiedziały najpierw państwa centralne tj. Austrya i Niemcy.

Co sądzić o odpowiedzi państw centralnych?

Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć, że w obydwóch odpowiedziach przebija się szacunek i cześć dla Papieża. Następnie odpowiedzi te głoszą swoje uznanie dla zasady, aby panowała sprawiedliwość i prawo nad bezprawiem. Dotąd bowiem głoszono w niektórych państwach pogańską zasadę „siła przed prawem". Państwa centralne godzą się na myśl Papieża, ażeby przeprowadzić powszechne rozbrojenie, a wszelkie spory oddawać do rozstrzygnięcia międzynarodowemu trybunałowi. Poszczególnym narodom ma się zostawić wolność do swobodnego rozwoju, a morza mają się stać wspólną własnością wszystkich narodów. Wreszcie państwa centralne są za tem, ażeby nota Papieża stała się podstawą do dalszych rokowań pokojowych.

Co odpowiedziała koalicya.

Z państw koalicyi na notę Papieża odpowiedział tylko Wilson, prezydent Stanów Zjednocz. Ameryki Północnej. Jego odpowiedź ukazała się jeszcze przed odpowiedzią państw centralnych. Odpowiedź Wilsona nacechowana jest wielkim szacunkiem dla Ojca św. a zarazem nieubłaganą stanowczością do dalszego prowadzenia wojny z pruskim militaryzmem.

Rosya, w której panuje teraz bezbrzeżny chaos, pominęła notę Papieża głuchem milczeniem. Żadnej oficyalnej odpowiedzi nie dała też Anglia i Włochy. Francya nie wysłała do Watykanu osobnej noty, ale w Izbie posłów dał odpowiedź prezydent ministrów francuskich Painleve. Oświadczył on, że Francya musi się domagać zwrotu Alzacyi i Lotaryngii i wynagrodzenia wyrządzonych szkód. Nadto Francya musi posiadać gwarancyę, że pokój będzie stały, a to się stanie, gdy o pokoju będzie decydował naród niemiecki, a nie cesarz i rząd pruski, tak jak jest dotychczas.

J. M.

Myśli i zdania.

O ty, który odkładasz z dnia na dzień nawrócenie się do Boga, wiesz-li ty, czy dzisiejszy dzień nie będzie ostatnim dla ciebie? (Św. Augustyn).

Ubogi wyciąga rękę do ciebie, ale Bóg sam przyjmuje to, co ubogiemu dajesz.

(Św. Jan Złotousty).

Z dziedziny wiary i obyczajów.

Na Święty Marcin.

(11 listopada).

Hej, prószy pierwszy śnieżek
Po łące i po błoniu,
Z niebios Św. Marcin
Na białym jedzie koniu

W srebrzystej jedzie zbroi,
Na hełmie pióra białe,
Śnieg zimny dookoła,
Jak perły lśni wspaniałe.

Choć zimno tak na świecie,
Bez płaszcza jedzie Święty:
Otulił nim biedaka,
Co z chłodu drżał zziębnięty.

Galopem Święty rycerz
Po naszej jedzie ziemi,
Otula dobrą rolę
Szatami mięciutkiemi.

Tam w głębi płodne ziarno
Pod śniegiem we śnie leży.
Nim słonko mocniej błyśnie.
Nim wiosna znów nadbieży.

Pilnuje Święty Marcin,
By dojrzał siew rolnika.
Dlatego wór ze śniegiem
Wziął z sobą na konika.

I rzuca z tego woru
Śnieg lśniący, jak dyamenty
Na nasze zboża, kwiaty.
Opiekun Marcin Święty.

Więc ziemia i nędzarze
Od czasu prastarego,
Co rok obchodzą święcie
Dzień Marcina Świętego. *Or-ot.*

Nasze czasy.

Dwóch żołnierzy jechało na krótko-terminowy, a zasłużony urlop do domu. Kilkanaście miesięcy spędzili na froncie w rowach strzeleckich. Niejednokrotnie spoglądali śmierci w oczy, ale mimo, że kule świstały, granaty tuż przy nich pękały, a szrapnele na wyścigi z karabinami maszynowymi rzedziły szeregi, oni pozostali przy życiu — i oto pełni radości jadą do swoich. Obaj byli pogrążeni w głębokiej zadumie, aż wreszcie młodszy z nich, bo mógł liczyć lat 22, odezwał się do swojego towarzysza podróży, znacznie starszego, prawie już szpakowatego:

— Wiecie co, gospodarzu, ja już w nic nie wierzę. Matka mnie dobrze i religijnie wychowała, ale to, co przeszedłem, na com patrzał, com słyszał, wiarę moją podkopało.

— Dziwna rzecz, bo i ja tam byłem, gdzie i ty, a jednak wiary moich przodków nie straciłem. Widziałem wielkie zepsucie, słyszałem wiele bluźnierstw i mów przeciwnych wierze naszej świętej, bolałem nad tem, modliłem się za zbłąkanych, ale skarbu swojego pilnie strzegłem, nic z niego nie uroniłem.

— Ależ gospodarzu, czyż można jeszcze w Boga wierzyć, kiedy pozwala na to, że my, żołnierze, tyle cierpieć musimy.

— Widzę mój przyjacielu, że jesteś zgrabnym żołnierzem, a i ducha musisz mieć mężnego, bo piersi twoje zdobią ordery, ale powiedz mi, czyś do tego doszedł bez trudów, bez cierpień? Małoś się nacierpiał przy ćwiczeniach, albo w rowach?

— O zapewne, nieraz mnie kapral takim policzkiem poczęstował, żem wszystkie gwiazdy widział,

— No widzisz, tyleś cierpiał, zanim zostałeś takim dzielnym żołnierzem — a czyż sądzisz, że być żołnierzem Chrystusa Pana mniej ma trudów kosztować? Chcesz być kiedyś dziedzicem nieba, chcesz zażywać tamże szczęścia bez końca, to musisz sobie na to zasłużyć... cierpieniami.

— Stara to piosnka, nasz proboszcz nam często ją powtarza.

— Tak, stara, ale właśnie dltego prawdziwa. Bez pracy niema kołaczy, a bez cierpień nieba. Tk mówili ludzie dawniej, tak powtarzają i dzisiaj, a naco się wszyscy ludzie i wszystkie wieki godzą, to musi być prawdą. Mój przyjacielu, żołnierz cierpi wiele, ale żaden nie może powiedzieć, że bez winy — a zresztą jest to nasz czyściec — mam w Bogu nadzieję, że my, żołnierze, zapełnimy niebo, o ile pozwolimy Bogu, by nas w tym ogniu cierpień ucisku przetopił na kruszec czysty, przerobił na kamień szlachetny, zdolny do budowy tego miasta Pańskiego, tej niebieskiej Jerozolimy.

— Widzę, żeście dużo czytali, kiedy tak odpowiadać umiecie, ale powiedźcie mi, jeżeli Bóg jest i On wszystkiem rządzi, to czy nie mógłby prędzej tę wojnę zakończyć?

— Zapewne mógłby, ale nie spieszy się z tem, bo ma powody do tego. Nie godzi się nam wnikać w plany i zamiary Boże, ani Mu przepisywać termin, kiedy ma wojnę zakończyć — ale moim chłopskim rozumem tak sobie myślę: Przed wojną ludziom się dobrze powodziło, jedli, co chcieli, pili od ucha, stroili się na wyścigi, bo wszystkiego było dosyć — a jeszcze tęsknili za

wojną, którąby choć połowę ludzi sprzątnęła, bo sądzili, że wtedy jeszcze lepiej się mieć będą. Co chcieli ludzie, to mają. Nadto pamiętaj, że wojna to wielki boży kaznodzieja. Jużto tym uczonym ludziom to rady nie było, chełpili się ze swoich wynalazków, sądzili, że się zupełnie bez Boga obejdą, a dzisiaj te wynalazki zabierają nam naszych ojców, braci, znajomych, przyjaciół, tępią ludzkość całą.

— Oj tak, dobrze mówicie gospodarzu.

Gdyby te czasy przedwojenne wróciły, jakże czulibyśmy się szczęśliwi.

— Ach Boże, jabym zaraz kupił kilka świec do naszego kościoła na ołtarz Naj. Maryi Panny.

— Wierzę ci, mój przyjacielu, nie jedna pobożna dusza uniesiona radością zrobiłaby ofiarę Bogu na podziękowanie, ale widzisz, dopiero wojna nas nauczyła, jak cennym jest pokój, że wynalazki bez Boga są straszną morderczą bronią ludzkości, że można pościć bez uszczerbku na zdrowiu i wiele innych rzeczy.

Np. że można chodzić w butach o drewnianych podeszwach.

— Masz słuszność. Wiele się zmieniło na dobre, choć jeszcze wiele, bardzo wiele jest złego — ale Bóg cel swój osiągnąć musi, jaki sobie wytknął. A wtedy i wojna się skończy.

— Dałby Bóg, żeby jak najprędzej.

Wtem nagle pociąg się zatrzymał. — A cóż się stało — pyta młodzian.

— Nic — oto stacya N.

— Tak! — jak nam prędko czas upłynął. Bóg wam zapłać gospodarzu za pouczenie. Cały rok nie słucham kazania, Mszy św., to też dusza zupełnie wyjałowiała, teraz czuję się znów duchowo pokrzepiony. J. Sz.

Oko ojca i matki.

Pismo św. mówi: „Oczy Pańskie daleko są jaśniejsze od słońca„ wypatrujące wszystkie drogi człowiewiecze i głębokość przepaści i na ludzkie serce patrzące na skryte strony“.

Pan Bóg jest wzorem dla ojca i matki. Jak przed Bogiem niema nic skrytego, bo Jego oko nawet serca ludzkie ogląda, tak przed okiem ojca i matki dziecko nie powinno uchodzić. Rodzice zastępują dzieciom samego P. Boga. Ich oko winno wszystko widzieć, co dzieci czynią, jakie mają skłonności dobre i złe. Gdy synek lub córka idzie do kościoła, ojciec i matka mają wiedzieć, czy synek był rzeczywiście w kościele, jak się tam zachowywał, czy do domu w swoim czasie powrócił. Tak samo powinien wiedzieć ojciec i matka, kiedy nauka zaczyna się w szkole i kiedy się kończy, aby mogli doglądnąć, czy dziecko poszło do szkoły w swoim czasie i czy wróciło do domu w porę. Oko rodzicielskie musi mieć baczenie na to, czy podrastający syn znajduje się w nocy w domu. Ojciec i matka zaglądają nawet na małe dzieci, jak leżą w łóżku, jak trzymają ręce. Stare polskie przysłowie mówi: „Oko pańskie konia tuczy“. To przysłowie można zastosować i do wychowania dzieci. Jeżeli matka i ojciec mają otwarte oczy i wiedzą o każdym kroku swoich dzieci, to są oni dla nich prawdziwymi aniołami stróżami. Nic tak niebezpiecznem dla wychowanków nie jest, jak samotność i brak dozoru. Gdy w szkole nauczyciel jest obecny, dzieci zachowują się dobrze, bo jego oko na nich spoczywa. Ale niechby tak nauczyciel nie miał ich na baczności, to one zaraz poczną swywolić. To samo ojciec i matka. Jeżeli nie będą doglądali dzieci we wszystkiem, to wnet dzieci to spostrzegą i zaczną chodzić swojemi drogami. W domu będą się w skrytości nieprzyzwoicie zabawiać; będą po kryjomu wydobywać grosze ze skrzyni ojcowskiej i obracać na łakotki, a gdy podrosną, nietylko ojcu, ale i innym ludziom będą kraść, co im w rękę wpadnie. Gdy ich rodzice wyszlą do kościoła, to często przepędzą nabożeństwo poza kościołem, albo będą w kościele swywolić. Zamiast pójść do szkoły, pójdą z towarzyszami gdzieindziej. Przy tem nauczą się kłamać, bo ojciec i matka uwierzą im zawsze na słowo, a nie doglądną, czy to prawda, czy nie. O jak gorzko przyjdzie później ojcu i matce pokutować za taką łatwowierność, gdy się dowiedzą, jak ich dzieci oszukiwały. Niechże więc od najmłodszych lat tak na oku mają swe dzieci, aby one przed niem nigdzie skryć się nie mogły. W takim razie nie odważą się na nic złego, bo będą wiedziały, że to im nie ujdzie, bo ojciec i matka z pewnością się o tem wnet dowiedzą. Ale są ojcowie i matki tak zakochani w swych dzieciach, że im wierzą wszystko, co powiedzą, że ich nie doglądają, gdyż się im zdaje, że ich dzieci nie są zdolne zrobić coś złego. Gdy im kto nawet oczy otwiera na to, co robią ich dzieci, to się jeszcze gniewają.

Gdym jeszcze chodził do szkoły, udałem się raz z innymi chłopcami nad wezbraną rzekę i próbowaliśmy ją przejść, narażając się na utopienie. Nagle widzę, jak zbliża się ku nam mój ojciec, który mieszkał o dwie mile daleko, bo ja byłem oddany na naukę do miasta. Ojciec wtedy przypadkiem przyjechał do młyna ponad tą rzekę położonego. Jakże się bardzo zawstydziłem wtedy, że się tak poza ojcowskim domem sprawuję! Odtąd zawsze, gdy coś czyniłem niewłaściwego, przychodziło mi na myśl, coby powiedział mój ojciec, gdyby mnie zobaczył. I to było dla mnie przestrogą. Niech mu P. Bóg da niebo. Rodzice, miejcie otwarte oczy na wasze dzieci!

Dobre słowo.

Dobre słowo i wesoła twarz każdemu radość sprawiają, a jednak mało kto pamięta o tem. Zdaje się zwykle ludziom, że słuszniej postepują

używając słów surowych, zamiast wprzód łagodnie przemówić. Tak postępuje matka względem dziecka, które coś złego popełniło, lub gospodyni domu, udzielając nagany służbie.

Błędy popełnione przez dzieci — pochodzą najczęściej nie ze złego zamiaru, lecz z braku zastanowienia się. Trzeba więc dziecku w łagodny sposób zwrócić uwagę na przewinienie jego. Dziecko, odbierając naganę powinno odczuć, że czyni się to tylko dla jego dobra i wtenczas napomnienie trafia zwykle do serca. To sami odnosi się do służby. Ciągłe prawienie morałów i krytykowanie przytępia uczucie, łagodna nauka zaś często dobry skutek osiąga.

Bardzo wiele zdziałać można dobrem słowem także względem ludzi, którzy dążą do własnej zguby. Przesadna surowość jest w tym wypadku niewłaściwą, gdyż wywołuje tylko upór i samowolę, podczas gdy dobre słowo otwiera zbłąkanym oczy i prowadzi ich na drogę wiodącą do Boga.

Dobre słowo! Jak trudno wypowiedzieć je ludziom! **Po kilka** dni chodzą nieraz z zasępionemi twarzami, jeśli im się zdaje, że ktoś krzywdę im wyrządził. Często zdarza się niestety, że członkowie jednej rodziny żyją ze sobą w nienawiści. — Nie patrzą na siebie, unikają się wzajemnie, zaledwie zamienią pozdrowienie, a cierń niezgody wciska się coraz głębiej w serce, aż w końcu go prawie wyrwać nie można. Dobre słowo, wypowiedziane we właściwym czasie, byłoby dawno usunęło to zobojętnienie i brak miłości.

Popróbujmy użyć dobroci — zamiast surowości wobec tych, którzy nam przykrość sprawili. Uczmy dzieci swoje postępować podobnie, a doznamy wszyscy miłego uczucia spokoju i zadowolenia.

Dobrem słowem bardzo wiele zdziałać możemy, tak w wychowaniu dzieci jak i w życiu społecznem, zawsze i wszędzie.

Swięte wdowieństwo wojenne.

W szeregi Krzyżowców, to jest żołnierzy chrześcijańskich, którzy szli wojować z niewiernymi o Ziemię św. i Grób Chrystusa, zaciągnął się szlachetny książę Turyngii Ludwik, mąż św. Elżbiety. Zaledwie kilka lat upłynęło od chwili, jak zawarł szczęśliwy związek małżeński. To też smutne i nad wyraz bolesne było rozstanie dobrego małżonka ze świątobliwą żoną. W domu pozastawiał rycerz krzyżowy dzieci maleńkie, z któremi mile się żegnał. Żona towarzyszyła jakiś czas w drodze swemu mężowi, jakby w przeczuciu, że już nigdy do niej nie powróci. Ale nadeszła chwila ostatniego pożegnania — wówczas księżna Elżbieta, pełna ufności i zdania się na wolę Bożą, rzekła ostatnie słowa pożegnania do męża: „Nie chcę cię zatrzymywać. Niech się spełni wola Boża. Bóg da ci siłę, byś spełnił swój obowiązek. Siebie i ciebie Jemu zaofiarowałam. Jego łaska niech czuwa nad Tobą, błogosławieństwo Boże niech Ci towarzyszy. Taka będzie moja ciągła modlitwa. W Imię Boże idź na bój“.

Długo jeszcze patrzyła księżna w dal, gdzie pociągnął rycerz krzyżowy, wreszcie wróciła do dzieci i obowiązków.

I oto mijały długie i smutne dnie i miesiące w oczekiwaniu na wieści z dalekiego wschodu.

Pojawił się wreszcie jednego dnia posłaniec, który wręczył księżnie klejnoty i pierścień ślubny księcia Ludwika, oznajmiając, że książę padł w bitwie z niewiernymi. Jakaż bolesna wiadomość! jaki cios! Zalała się łzami serdecznej żałości młoda wdowa: „Tak tedy postradałam, westchnęła, moje szczęście. O mój Jezu, Ty mię pociesz w mej boleści!“ Potrafiła jednak zachować spokój serca i umysłu, zdając się na wolę Bożą. W młodych latach została wdową. I rozpoczęło się z tym dniem życie jej świętego wdowieństwa, które do dziś jest wzorem dla wszystkich wdów. Oderwana od tego, co znikome i doczesne, w biedzie i doświadczeniach nie ugięła się, ale postępowała coraz wyżej w doskonałości, kierując swój wzrok w górę, gdzie spodziewała się znowu ujrzeć swego małżonka.

Jakiż to wzór piękny dla wielu kobiet polskich, które też utraciły w wojnie męża swojego. — Ciężkie to doświadczenie, wielka ofiara, ale nie wolno tracić odwagi i oddawać się rozpaczy.

Wdowa chrześcijańska winna zachować spokój umysłu i zdać się na wolę Boga, który przecież z taką miłością nazywać się każe ojcem wdów i sierót. Jeżeli Bóg na cię dopuścił to cierpienie i zostałaś wdową, umiej także naśladować Elżbietę św. w jej pobożności i czystości, jej zdaniu się na wolę Bożę. A przez to zgodzenie się z wyrokami Opatrzności Bożej zaskarbisz sobie zasługi na żywot wieczny — w modlitwach nie zapominaj o mężu swoim, spełniaj swe obowiązki, jak on wypełnił swój, a wszystko ku twemu dobru się obróci.

Myśli i zdania.

Nie rozpaczaj!

Ach ludku Boży! Kto się Boga boi,
Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi,
A gdy was ciężka dziś trapi niedola
Rzeknijmy razem: Stań się Twoja wola!

(Ks. Antoniewicz.)

Pieśń.

Śpiewania słodka potęga
Zjadliwe zgryzoty płoszy,
Śpiewanie do serca sięga,
Jest źródłem wszelkich rozkoszy.

Miłość niech się wam przymnoży.

Dwóch ludzi idzie jedną i tą samą drogą, stromą i uciążliwą; zmierzają do tego samego celu, a łączą ich węzły najserdeczniejszej przyjaźni. Wtem powstaje między nimi małe nieporozumienie, które nie jest żadnem uczuciem gniewnem, lecz raczej u[illegible] wzajemnej pełnem współzawodnictwem. — Otóż jeden drugiemu pragnie odjąć ciężar, który tamten dźwiga. Każdy z nich chciałby dźwigać płaszcz i całe brzemię drugiego, żeby tylko ulżyć przyjacielowi kosztem trudu własnego. Nieporozumienie wśród nich ustaje dopiero wtenczas, gdy ciężar cały podzielono na dwie równe części.

Taki to obraz podniosłej miłości prawdziwie chrześcijańskiej miał z pewnością przed oczyma wielki Apostoł Narodów gdy pisał: „Jedni drugich brzemiona noście, a tak wypełnicie zakon Chrystusów". Tak jest w rzeczy samej. Zakon Chrystusów mówi nam wyraźnie: „Kto z was pragnie być największym, ten niechaj stanie się sługą wszystkich". Zbawiciel zaś sam o sobie powiada tak: „Syn Człowieczy nie na to przyszedł, ażeby mu służono, ale, ażeby służyć innym". A takiem stało się życie Jego, tyle w tem życiu było miłości i poświęcenia, że mógł zaiste mówić o sobie: Ja pragnę żyć tylko dla was, pragnę się oddać każdemu z was, pragnę spłonąć w świętej ku wam miłości, tak jak płonie wieczna lampa przed ołtarzem moim. Chcę być waszym przyjacielem i współtowarzyszem w uciążliwej pielgrzymce życia, pragnę odjąć wam ciężkie brzemię wasze i złożyć je na własne dla was skrwawione ramiona i dla was je nieść na szczyt Golgoty". — Tak stało się, że Chrystus Pan odjął od nas najcięższe brzemię nasze, nasze grzechy, naszą bardzo wielką winę.

Takie też a nie inne jest nasze własne zadanie wobec ludzi. A zadanie to zwłaszcza teraz spełnić nam trzeba, w czasach obecnych, pełnych nieszczęścia i tak wielkich cierpień tylu bliźnich naszych. Wszakżeż każdy z nas prawie bez wyjątku dźwigać musi z dopustu Bożego brzemię niezmiernie ciężkie na barkach swoich. O współtowarzysze w wielkiej i uciążliwej życia pielgrzymce, nie zapominajcie o tych, którzy z wami idą! Jedni drugich brzemiona noście! Nie mówcie nigdy: „Mam dosyć ciężaru własnego, własne brzemię moje uciska mnie niezmiernie, tak że już nic więcej przyjąć nie mogę". Tak nigdy mówić nie należy. To samoluby, którzy tak myślą i tak mówią. Serce przyjacielskie nie dopuści myśli podobnej.

Serce przyjacielskie wie doskonale, że można udźwignąć brzemię jeszcze większe i ciężar jeszcze znaczniejszy, byle tylko miłości Chrystusowej w duszy nie zabrakło. Miłość bowiem podnosi nas i sił nam dodaje i woła nas do czynów i do poświęcenia dla drugich, dla braci naszych. Szczęście prawdziwe dla nas, jeżeli tylko możemy pomódz innym, jeżeli zdołamy odjąć im choć trochę ciężaru życiowego.

Zapewne, że rzeczą łatwą i wygodną, jeżeli zimno i bez uczucia przechodzi się obok nędzy i cierpienia drugich. Nie jest to przecież po chrześcijańsku. Postępowanie takie nie daje zadowolenia, nie darzy szczęściem i spokojem sumienia. Tyle wśród nas dusz samotnych i opuszczonych, które bez pociechy idą twardą życia drogą. Kto z nas spojrzy na nich miłości pełnym wzrokiem, kto im okaże serce współczujące, kto im poda rękę pomocną, kto odejmie od nich choćby część tylko małą ich brzemienia wielkiego, tak ażeby z uczuciem ulgi niezmiernej zawołać mógł: „Teraz wiem, że już nie jestem tak opuszczony i samotny. Teraz wiem, że iść nie potrzebuję sam jeden ciernistą drogą życia, bólu pełnego. Jest ktoś, który dźwiga ciężar mój ze mną". — Ile w takiem przeświadczeniu pociechy i pokrzepienia!

A nas samych jak to niezmiernie podnosi na duchu! Kto samolubny, kto o sobie tylko myśli, ten nigdy szczęścia prawdziwego nie zazna. Ci zaś, którzy brzemiona drugich noszą, ci są pełni radości, spokoju, wesela.

Oto czas teraz na takie czyny miłości Chrystusowej! Świat obecnie pełen nienawiści wzajemnej i potrzebuje miłości wielkiej, tej miłości, która leczy rannych, więźniów pociesza, strapionych wspiera, bezdomnym daje opiekę, wątpiącym łzy ociera, samotnych nie opuszcza, ciężary i brzemiona drugich dźwiga litościwie.

„Tedy wypełnicie zakon Chrystusów..."

Listy.

Otrzymujemy od jednego z przyjaciół naszego pisma następujący list:

„Katolicy! Witajmy się słowy Chrystusa: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jakże to przykro, że Polacy, katolicy tak zobojętnieli, tak się w sobie zamknęli, że przechodząc koło siebie milczeniem się mijają. Kiedy mówimy: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pociągamy niejako jedni drugich ku sobie i wyznajemy wiarę w Chrystusa. Jeśli zaś unikamy tego pozdrowienia, okazujemy jakby wstyd i brak odwagi w wierze.

Pamiętajmy, co Chrystus powiedział: Kto mnie wyzna przed ludźmi, tego i Ja wyznam przed Ojcem moim, a kto się mnie zaprze przed ludźmi, tego i Ja się zaprę przed Ojcem, który jest w niebiesiech.

A więc — weźmy to sobie pod rozwagę.

K. prenumerator „Siewu Pol.".

Myśli na czasie.

W pustyniach Arabii i Syryi rośnie mała, niepozorna roślinka, nazwana od tamtejszych mieszkańców: kwiatem zmartychwstania. Dla czego? Roślinka ta, choć parę lat stoi w piaskach, nie ożywiona żadną kroplą rosy lub deszczu, tak, że wygląda uschła i zamarła, rozwija się na nowo i kwitnie, jeżeli na chwil kilka do wody się ją włoży. Czyż to nie piękny i wierny obraz duszy? I dusza ludzka, gdy grzech ją splami, zamiera i całe lata stracona jest dla Boga i wieczności; jeżeli jednak rosa łaski w spowiedzi na nią spłynie, zaczyna żyć na nowo i dla Boga kwitnąć.

* * *

Wiara nasza musi pozostać czystą i nieskażoną, ani jednej litery uronić nie wolno z nauki Chrystusa. Stałą niech będzie jak bohaterstwo męczenników chrześcijańskich. Tylko ten, kto ma taką wiarę, posiada w Chrystusie „mądrość i moc Bożą“. Bez tej wiary nie podobna Bogu się podobać. Tak uczy przedwieczna prawda. Stracić tę wiarę, znaczy Boga stracić. Stracić Boga, to znaczy, stracić wszystko. Chrystus sam nie ma ratunku dla człowieka bez tego oddania się Bogu przez wiarę. Tylko ta prawdziwa wiara nadaje siłę i wytrwałość. Prawdy wiary to nasz najcenniejszy skarb... Tego skarbu chcemy się uchwycić w czarnych godzinach. Prawie w tych chwilach dodaje czysta, silna wiara mocy słabym, wsparcia błądzącym, otuchy upadłym, umierającym zapewnia wieczne zbawienie. Aby dostąpić tych kosztownych owoców, wyrastających z żywej wiary, musimy dokładać wszystkich sił, by rosnąć w wierze, to znaczy by z każdym dniem więcej poznawać głębię, ogrom, piękność i zgodność dzieła Chrystusowego... Gdybyśmy poznać zechcieli wielkość tego daru Bożego! Jak szczęśliwą byłaby wtedy dusza twoja, jak wielkiej siły doznałbyś w ciężkich chwilach, jak święty zawitałby pokój w sercu twojem: jak wielkie łaski spływałyby na cię z krzyża Chrystusowego; jak cudownie odnowiło, uświęciło i uszlachetniłoby się całe życie twoje! (Ks. bisk. Bertram).

* * *

Warunki obecnych, smutnych czasów powinny nas nakłonić do skromnego i pobożnego życia. Widzicie te klęski, spustoszenia, biedę, spowodowane wojną. Ciężkie ciosy zadaje wojna stosunkom międzynarodowym, gorzej jeszcze wływa na obyczaje i dobrobyt ludu. Jaż teraz z niejednego domu dochodzi bolesny głos: „Zmiłujcie się nade mną, przynajmniej wy przyjaciele moi, bo mnie ręka Boska ciężko dotknęła“. Wspomagać biednych wszelkimi, ale rozsądnymi sposobami, jest naszym świętym obowiązkiem. Jeszcze świętszym obowiązkiem jest dawać dobry przykład skromnem życiem, wstrzemięźliwością, nawracać błądzących, popierać słabych, zachęcać lud do modłów i ćwiczeń pobożnych. Te to lekarstwa polecamy na rany dusz, których zbawienie wystawione jest w czasie wojny na groźne niebezpieczeństwa. (Ks. bisk. Bertram).

* * *

Ponieważ wszędzie w ludzkiem społeczeństwie pierwszym warunkiem każdej wspólnej akcyi jest jedność i solidarność ducha, zupełnie niezależnie od tego, z jakiego powodu ta akcya powstała — dlatego musimy przedewszystkiem do tego wezwać, aby wszelkie rozdźwięki i niesnaski między katolikami ustały a także na przyszłość stały się niemożliwemi, żeby katolicy byli jednej myśli i zgodni w czynie. Nieprzyjaciele Boga i Kościoła wiedzą dobrze, że owe rozterki między nami to już jakby ich zwycięstwo przeciw naszej obronie. Dlatego też wtedy przedewszystkiem sieją między katolików ziarna niezgody i wytężają swe siły najwięcej, aby ich zwartą masę przełamać, — kiedy się katolicy ściślej zjednoczyli.

(Bened. XV.).

Ku nauce.

Czy warto się modlić.

Jeden słynny kaznodzieja prowadził raz rozmowę z niedowiarkiem na temat skuteczności modlitwy. Ten twierdził, że modlić się nie warto, gdyż Bóg nie słyszy, lub gdy słyszy, nie wysłuchuje modlitwy człowieka. Na to odpowiada kapłan: „Gdybym ja pukał cały rok do domu Pańskiego, a nikt mi nie otworzył, czy drugi rok byłbym tak naiwny to samo powtarzać?“. „Nie, bo byłoby to największą głupotą. Jabym ani kwandransa nie czekał, bo kto w czasie kwadransa nie otworzy, to znak, że albo nie słyszy, albo słyszeć nie chce“. „Zgoda, mówi na to kapłan; ale jak długo już, myśli Pan, ludzie modlą się do Boga?“ „Podług biblii około 6 tysięcy lat“. „Dobrze. Tedy już 6 tysięcy lat, jak się ludzkość modli. Jak Pan sądzi, czy ci ludzie modliliby się od tak dawna, gdyby ich modlitwa nie była wysłuchaną? Jeżeli jednak modlić się nie przestają, to pochodzi stąd, że ich modlitwa często i wnet zostaje wysłuchaną“.

Mądre upomnienie kaznodziei.

Pewnego razu jeden kaznodzieja amerykański zauważył w czasie kazania, iż niektórzy ze słuchaczy prowadzili ożywione rozmowy i śmiechy, które przeszkadzały mu mówić. Kaznodzieja przestał mówić, a popatrzywszy na rozmawiających, powiedział taką uwagę: „Przed paru laty przydarzyło mi się podczas kazania, że pewien młody człowiek siedzący naprost ambony ciągle się śmiał, mówił i pozwalał sobie na

dziwne grymasy, tak że musiałem przerwać kazanie i surowo skarciłem nieodpowiednie zachowanie się tego człowieka. Po kazaniu zbliżył się do mnie jeden pan i rzekł: „Wielki błąd popełniłeś, upominając tego człowieka, przecież wiadomo, że on jest głupkowaty“. Odtąd — kończył kaznodzieja — już nie mam odwagi, ludzi nieodpowiednio zachowujących się w kościele strofować, bym dawnej pomyłki nie powtórzył i znowu głupkowatym nie czynił wymówki“. Następnie kaznodzieja w dalszym ciągu mówił kazanie, ale już w kościele panował wzorowy spokój.

Godzina odwiedzin w szpitalu.

Powoli posuwa się wskazówka zegaru wiszącego na ścianie w sali. Jeszcze dziesięć, pięć minut i nareszcie trzecia — godzina odwiedzin.

Na łóżkach leżą chorzy; i oto naraz wszystkie głowy podnoszą się i patrzą ku drzwiom ze wzrokiem pełnym oczekiwania. I wchodzą jedni po drugich: matka, siostry, bracia, znajomi. Sala napełnia się szeptaniem i żywą rozmową. Tu słychać słowa pociechy, tam wesołe opowiadania.

Godzina odwiedzin w szpitalu — czy pojmujemy, czem jest dla chorych — to dla nich godzina szczęścia. Na jedną godzinę zapominają o boleściach i cierpieniach, o nocach niespokojnych. Straszne, bezsenne noce! Jakże bezgranicznie opuszczony czuje się chory, ranny wówczas, mimo, że tylu ich leży na sali; jak tęskni wtedy za swymi najbliższymi, wygląda godziny odwiedzin, rachuje: za dwa dni, za dzień znowu przyjdą.

Dopiero na sali rozumie dobrze niejeden, co to znaczy mieć blizkich, dobrych przyjaciół, którzy nawet setki mil przejadą, by go pozdrowić, popatrzeć nań, uradować.

Lecz... obok łóżek na sali, które gęsto obstąpili goście, są łóżka niektóre, przy których nikt nie stoi, których nikt kwiatami nie przyozdobi, przy których nikt się nie zatrzyma. Ledwie parę spojrzeń współczujących padnie na łóżko, na którem spoczywa chory, którego nikt nie odwiedzi.

Jak on spogląda smutnie na tych szczęśliwców, o których myślą, których odwiedzają blizcy, krewni. On sam jeden, smutny w swem opuszczeniu. Powinny jednak znaleźć się dusze, które pójdą do szpitala, zapytają o tych, o których nikt nie zapyta, przyniosą kwiaty, pomówią serdecznie z nimi, by choć na chwilę zapomnieli o swej chorobie i opuszczeniu.

Pieśń pokutna ludu jęczącego w niewoli.

1. Modlitwa nieszczęsnego, znajdującego się w ucisku i wylewającego swe żale przed Panem.

2. Panie, wysłuchaj modlitwę moją: a wołanie moje niech do ciebie przyjdzie.

3. Nie odwracaj oblicza twego ode mnie: kiedykolwiek jestem w ucisku, nachylaj ku mnie ucho twe:

4. Kiedykolwiek wołam do ciebie, prędko wysłuchaj mię.

4. Bo znikły jako dym dni moje, a kości moje wyschły jako chróst.

5. Spalonym jako trawa, i wyschło serce moje, tak, iż zapominam pożywać chleba mego.

6. Od głośnego wzdychania mego przyschły kości moje do ciała mego.

7. Stałem się podobnym do pelikana na puszczy: jestem jako sowa w pustkach.

8. Nie sypiam, i stałem się jako wróbel samotny na dachu.

9. Całymi dniami urągają mi nieprzyjaciele moi: a ci, którzy mię chwalili, sprzysięgają się na mnie.

10. A ja jem popiół jako chleb: i mieszam za łzami napój mój:

11. Od gniewu twego i srogości twej: bo podniósłszy, rzuciłeś mię.

12. Dni moje znikły jako cień: a jam usechł jako trawa.

13. Ale ty, o Panie, trwasz na wieki: i pamięć twoja żyje od rodu do rodu.

14. Ty powstaniesz, i zmiłujesz się nad nim, bo przyszedł czas.

15. Bo słudzy twoi miłują kamienie jego: i nad rumowiskiem jego boleją.

16. Tedy ulękną się narody imienia twego, Panie, i wszyscy królowie ziemi chwały twej:

17. Gdy odbuduje Pan Syon: i objawi się w majestacie swym:

18. Gdy się przychyli ku modlitwie poniżonych: i nie wzgardzi prośbą ich.

19. Zapiszą to dla pokolenia przyszłego: a lud, który stworzony będzie, niech wysławia Pana:

20. Że wejrzał z świętej wysokości swej: Pan spojrzał z nieba na ziemię.

21. Aby wysłuchał wzdychania więźniów: aby wyzwolił dzieci ojców pomordowanych:

22. Iżby głosili imię Pańskie na Syonie: i chwałę jego w Jeruzalem:

23. Gdy się zgromadzą narody pospołu: i królowie, aby służyli Panu.

24. Odpowiedział mu w drodze mocy swej: krótkość dni moich objaw mi.

25. Nie zabieraj mię w połowie dni moich: wszak lata moje od wieku do wieku.

26. Na początku tyś stworzył ziemię, o Panie, i dziełem rąk twoich niebiosa.

27. One zaginą, a ty zostajesz: i wszystkie one jako szata zwietrzeją. I jako odzienie odmienisz je, i odmienią się:

28. A ty jesteś tenże sam, i lata twoje nie ustaną

29. Synowie sług twoich mieszkać będą: i potomstwo ich trwać będzie szczęśliwie na wieki. (Psałterz Dawidowy w przekładzie X. Arcybiskupa Symona) — Psalm 101.

Bądź Ty z nami!

Po światłości idzie mrok,
Strop się nieba chmurzy,
Przerażony szuka wzrok
Pierwszych znamion burzy.
Już szalony wicher mknie,
Grom niebiosa orze —
Po żywota wszystkie dnie
Bądź Ty z nami, Boże!

Gdzież ratunku szukać mam
Pośród dróg krzyżowych,
Gdy naokół fałsz i kłam
W szatach lśnią godowych.
Gdy zwątpienie jadem tchnie,
Zdrada ostrzy noże —
Po żywota wszystkie dnie
Bądź Ty z nami, Boże!

Jak na morzu krucha łódź,
Dusza nam się chwieje,
Ty jej dawną Wiarę wróć,
Miłość i Nadzieję.
Niech nie drzemie serce w śnie,
Niechaj patrzy w zorzę —
Po żywota wszystkie dnie
Bądź Ty z nami, Boże!

Gdy opuszczą wszyscy nas
W życiowej rozterce,
Gdy zgryzoty ciężki głaz
Przytłoczy nam serce;
Gdy się złudzeń nitka rwie
Błagamy-ć w pokorze —
Po żywota wszystkie dnie
Bądź Ty z nami, Boże!

Or-Ot.

Nowe książki i wydawnictwa.

Msza św. — to największy dar, jaki nam Chrystus Pan zostawił; to nieoceniony skarb duchowy, z którego winniśmy pełną garścią czerpać. Msza św. jest to coś tak wzniosłego, coś tak niesłychanie majestatycznego, że gdy o niej przychodzi mówić, brak poprostu słów.

I ta przenajświętsza Msza-ofiara jest niedocenioną i mało zrozumianą przez wielu. Stąd albo się ją opuszcza bez skrupułu, albo też idzie się na nią i słucha się jej, ale bezmyślnie i zimno.

Należałoby podjąć reformę pod tym względem. Może się do niej przyczynić mała książeczka o 22 stronach, napisana przez ks. Teodora Czaputę, której wydanie drugie w najbliższym czasie się ukaże.

Książeczka zaiste prześliczna. Treściwa, zwięzła, a pełna głębokich myśli, obudzić może w duszach czytelników cześć i miłość dla Mszy św. Możnaby ją brać z sobą do kościoła i czytać powoli, rozważając w czasie najświętszej Ofiary. Czytelnikom naszym polecamy ją jak najgoręcej; kosztuje tylko 20 halerzy, a nabyć ją można w administracyi „W Obronie Prawdy", Kraków, Plac Maryacki 2. Najlepiej sprowadzać ją w większej ilości, wtenczas koszta przesyłki będą mniejsze.

OD REDAKCYI.

Z powodu zmiany w redakcyi pisma upraszamy wszelkie listy, przekazy pieniężne, korespondencye przesyłać pod adresem: Redakcya „W Obronie Prawdy", Kraków, pl. Maryacki l. 2, II. p.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia „Głosu Narodu" — Kraków.